

PROLOG

Chryste.

Przywarłam do muru całymi plecami. Obojczyk palił wściekle, doprowadzając moje zmysły do szaleństwa. Ubranie przykleiło się do ciała od nadmiaru posoki wypływającej z rany. Moja klatka piersiowa poruszała się w zawrotnym tempie, szum krwi skutecznie zagłuszał wszystkie dźwięki dookoła. Miałam wrażenie, że mój oddech niesie się echem po przestrzeni i te bestie zaraz mnie odnajdą.

Cholera jasna!

Przymknęłam powieki. Nieznana substancja szczypała mnie w oczy. Przetarłam twarz dłonią i wciągnęłam ze świstem powietrze, kiedy się jej przyjrzałam.

Adrenalina tak we mnie uderzyła, że nawet nie poczułam, gdy mózg tego gościa rozbryzgał się na mojej twarzy.

Odskoczyłam od muru jak oparzona. Zdusiłam jęk. Czułam, jak chciał wydobyć się z mojej piersi. Desperacko próbowałam zdjąć z siebie kawałki narządu, ale tylko rozsmarowałam krew i mięso po skórze. Żółć podeszła mi do gardła. Zgięłam się wpół, oparłam ręce o kolana.

Zawartość żołądka wyszła ze mnie szybciej, niż się tam znalazła.

– Kurwa mać – zaklęłam i przetarłam usta dłonią.

Torsje wciąż mną targały, a świat przed oczami pociemniał. Do nosa wdarł się metaliczny zapach posoki i ostra woń wymiocin. Wszystko wokół zawirowało, karuzela kręciła się coraz bardziej, a moje ciało wraz z nią.

Padłam na kolana i oparłam się dłońmi o mokre podłoże. *Opanujże się* – skarciłam się w duchu. Wszystkie moje kończyny drżały jak po wielokilometrowym biegu. Musiałam jak najszybciej doprowadzić się do ładu, inaczej te bestie mnie dopadną.

– Madeleine! – Ochrypty, niski głos odbił się echem od betonowych murów. Moje serce zamarło w ułamku sekundy. – Nie chowaj się, skarbie! Tylko pogarszasz sprawę.

Cichy pisk wydostał się z moich ust. Nie zwracając uwagi na błoto i resztki organów denata, przycisnęłam do nich dłoń i pokracznie wycofałam się na miejsce przy ścianie. Skuliłam się, ściśnięta przerażeniem. Desperacko szukałam wyjścia z tej sytuacji, mój umysł był jednak całkowicie pusty.

Wpatrywałam się szeroko rozwartymi oczami w ścianę lasu znajdującą się dosłownie dziesięć metrów dalej. Problem polegał na tym, że jeśli chciałam się w nim skryć, musiałam przebiec przez szeroką połąć krótko przystryżonej trawy. Byłam pewna, że od razu zarobię kulkę w plecy.

Biłam się ze swoimi myślami, wahałam się, czy nie zaryzykować, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Strach i stres nie pozwalały na to, żebym wykonała jakikolwiek ruch. Panika jeszcze bardziej rozgościła się w moim organizmie. Jeśli bym tu została, to prędzej czy później i tak by mnie znalazły.

Szmer z prawej strony zwrócił moją uwagę. Nastawiłam uszu, bałam się jednak odwrócić głowę. Kolejna gula żółci utkwiała mi w przetyku, niemal siłą woli zmusiłam się do przełknięcia jej. Jeszcze chwila i pozbawiłaby mnie tlenu.

Powolnym ruchem zwróciłam się w tamtą stronę i zamarłam równie mocno, co świat wokół mnie.

Tęczówki w kolorze płynnego miodu wpatrywały się we mnie chłodno. Poniżej rozciągał się szyderczy uśmiech odsłaniający rząd równych, śnieżnobiałych zębów. Przydługa grzywka łaskotała mnie w nos, lecz nie miałam odwagi odgarnąć ciemnych kosmyków ręką.

Przełknęłam ślinę, gotowa krzyczeć wniebogłosy, ale przybysz przyłożył do swoich ust palec odziany w czarną rękawiczkę. Wpatrywałam się w niego jak zaczarowana. Naprawdę, odniosłam wrażenie, że przygwoździł mnie tym spojrzeniem do podłoża i wciskał w nie coraz bardziej, gniotąc przy okazji organy.

Wyciągnął rękę w moją stronę i delikatnie ujął brudny policzek. Przeszył mnie niespodziewany dreszcz. Miał tak chłodną dłoń, że uczucie szczypania przyszło niemal natychmiast. Przesunął ją niżej na szyję, a później na kark. Uśmiech nie schodził z jego twarzy, kiedy odrywał moją potylicę od muru.

Nie mrugnął ani razu w tym czasie, ani nawet w momencie, w którym postanowił szarpnąć mnie za włosy, obrócić głowę pod nienaturalnym kątem i uderzyć skronią w betonową ścianę.

A potem.

Ciemność.



ROZDZIAŁ 1

Wiatr rozwiewał włosy, sprawiając, że włożyły mi do oczu. Odgarnęłam kosmyki, przeklinając w duchu, że ich nie związałam. Szarówka popołudnia nie sprzyjała spacerom, więc kiedy tylko się rozpadało, ulice Down Town opustoszały. Neony pobliskich sklepów i barów odbijały się w kałużach rozrastających się leniwie na dziurawym asfalcie. Kilku śmiałków przemierzało Hold Street szybkim truchtem, kulili się pod prowizorycznymi osłonami z gazet lub aktówek. Jednak żadna z tych osób nie zwracała na mnie większej uwagi.

Ot, zwykła dziewczyna, która wybrała się na spacer w brzydką pogodę.

Deszcz zaciął prosto w twarz, był mroźny; miałam wrażenie, że przeszywał mnie na wylot, mimo płaszczu spoczywającego na moich ramionach. Owinęłam się nim szczelniej, po czym postawiłam kołnierz, chcąc ochronić się przed pogodą.

Rozejrzałam się i przecięłam ulicę szybkim krokiem. Przeskoczyłam przez krawężnik i nie zastanawiając się za długo, weszłam między budynki. Uliczka jak zwykle była ciemna, żarówki w latarniach już dawno się przepaliły, a miasto nie było skore do tego, by je wymienić. Uderzył we mnie zapach stęchlizny i wilgoci. Weszłam w mrok bez mrugnięcia okiem, moje kroki odbijały się echem od ceglastych ścian.

Zrobiłam dokładnie pięćdziesiąt osiem kroków, nim stanęłam przed znajomymi drzwiami. Lubiałam je liczyć, wypełniały pustkę w moim umyśle. Pchnęłam drewniane skrzydło. Otworzyło się z cichym jękiem. Ciepło owiało moje ciało, sprawiając, że zmarznięte dłonie zaczęły mrowić. Skierowałam się ku schodom, rozcierając ręce jedna o drugą.

Ciszę mąciło jedynie szuranie papieru o blat. Nie rozglądałam się, nie kiwałam nikomu na powitanie ani nie łąpałam kontaktu wzrokowego. Takie były zasady. Nie pytałam dlaczego, po prostu się temu poddałam. Poza tym, w tym wypadku, nie miało to dla mnie większego znaczenia. Nie chciałam mieć nic wspólnego z tymi demonami.

Przeszłam przez szeroki korytarz, z daleka widziałam dwóch roślących osiłków. Wpatrywali się w ścianę przed sobą, niewzruszeni odgłosami wydobywającymi się zza ściany. Włożyłam wciąż skostniałe ręce do kieszeni płaszcza. Posłałam obu firmowy uśmiech.

– Podobno Jean Luc chciał się ze mną widzieć – oświadczyłam bez ogródek. Ochroniarz spojrzął na mnie znad przyciemnionych szkieł, zlustrował od góry do dołu, po czym zapukał do drzwi.

– Szefie, Rousseau już jest!

Wzdrygnęłam się, słysząc doniosły głos. Odgłosy zza drzwi ustały na chwilę.

– Wchodź!

Nie czekając dłużej, nacisnęłam klamkę. Ciężki zapach eteru, potu i seksu wdarł się do moich nozdrzy. Zamrugałam, zamroczona gęstym, papierosowym dymem. Zdusiłam w sobie chęć kaszlu i ruszyłam w głąb pomieszczenia.

Gabinet Jean Luca przypominał bardziej pokój uciech niż miejsce, w którym robiło się poważne interesy. Ściany pokryte miękką, czerwoną tapetą już dawno przesiąknęły tytoniem

i alkoholem, eter¹ unosił się w powietrzu, jakby wciąż tu był. Co chwilę zerkałam w dół, by sprawdzić, czy nie sunie między moimi butami. Wściekle różowe, ledowe paski oświetlały jasny sufit. Dookoła paliło się kilka mniejszych, rustykalnych lamp, ale w pomieszczeniu wciąż było mrocznie przez ciemne abażury, które dawały niewiele światła.

Mój pracodawca siedział na eleganckiej kanapie, odwrócony do mnie plecami. Ręce miał szeroko rozciągnięte na oparciu, głowę delikatnie odchyloną do tyłu. Wiedziałam, że gdybym obeszła mebel, to moim oczom ukazałaby się jedna głowa bądź dwie, pochylone nad jego kroczem.

Jean Luc zerknął na mnie przez ramię. Jasne, zaczesane jak zwykle do tyłu włosy opadły mu na czoło. Spojrzenie miał lekko zamglone, wciąż widziałam w nim ten błysk, dozę sprytu, dzięki której zajmował tak wysoką pozycję w półświatku.

– Wzywałś? – zapytałam, przystając w bezpiecznej odległości. Skrzywiłam się, kiedy kolejny teatralny jęk wydarł się z gardła prostytutki.

– Mam dla ciebie robotę, tropicielko. – Skinął na mnie ręką, bym podeszła bliżej.

Zdusiłam w sobie chęć ucieczki i opanowałam mimikę, by nie było na niej przypadkiem obrzydzenia. Za jakikolwiek grymas inny niż neutralny można w tym gabinecie stracić życie. Przynajmniej tak tu szeptali.

1 **Eter dietylowy** (pot. *eter etylowy*, *eter*) – organiczny związek chemiczny z grupy eterów, zbudowany z dwóch grup etylowych przyłączonych do atomu tlenu. Ma właściwości narkotyczne, nasenne i znieczulające. Zmodyfikowany na potrzeby powieści do narkotycznego proszku doskonale rozpuszczającego się w roztworach.

Obeszłam kanapę i stanęłam przed znudzonym obliczem Jean Luca. Lustrował mnie uważnie, a ja walczyłam sama ze sobą, by nie spojrzeć w dół.

– Jaką? – wydusiłam z siebie, zaciskając ręce w pięści, ukryte w kieszeniach płaszcza.

Rytmicznie poruszająca się blond głowa skutecznie uniemożliwiała mi koncentrację. Usilnie starałam się skupić na błyszczących, szarych oczach swojego pracodawcy. Nieopatrznie na jeden krótki moment mój wzrok powędrował w dół, co nie uszło jego uwadze. Prychnął rozbawiony, złapał towarzyszkę za włosy i szarpnął do tyłu. Kobieta pisnęła, zaskoczona tym ruchem, jej nagie piersi zafalowały mi przed oczami.

Mokre plaśnięcie rozległo się w moich uszach. Zaciśnęłam mocno usta i spojrzałam w dół, na własne obuwie, akurat w momencie, w którym mętna stróżka spermy postanowiła spłynąć po jego czubku.

– Spierdalaj. – Jean Luc podniósł się z kanapy, by schować przyrodzenie w spodniach. Na obliczu mężczyzny malowały się pogarda i odraza, kiedy patrzył na blondwłosą kobietę w rozmazanym makijażu. Wycofała się pospiesznie z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi, najciszej jak się dało. Poprawił się i wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów. – Nicola Dubois – powiedział, patrząc tym razem na mnie. – Wymyka mi się od lat, choć wydawał się na początku łatwym celem. Pokazałaś, że jesteś godna zaufania, dlatego przydzielam ci jego sprawę.

– Nie miałam za bardzo wyjścia. – Wzruszyłam ramionami, wciąż skupiona na białej plamie na moich czarnych butach. – Co robi ten cały Dubois, że tak bardzo chcesz go wyeliminować?

Jean Luc zaśmiał się głośno i ponownie rozsiadł się na kanapie. Zaciągnął się mocno papierosem. Wypuścił kłęb dymu prosto w moją twarz. Zmarszczyłam oczy, chcąc dać tym samym wyraz swojego niezadowolenia.

– Nie chcę go wyeliminować. Potrzebuję go żywego.

Uniosłam brew. Zostawianie ludzi przy życiu nie było tym, czym się zajmowałam dla Jean Luca na co dzień, dlatego nie zamierzałam ukrywać, jak bardzo zdziwiła mnie ta informacja.

– To chyba nie jest zadanie dla mnie – stwierdziłam, wzruszając ponownie ramionami.

– Jest wyłącznie dla ciebie. – Wycelował we mnie palcem z sygnetem. – Pan Dubois ma prawdopodobnie takie umiejętności jak ty, moja droga. Nie widzę innego wytłumaczenia na to, że jest tak nieuchwytny.

Wydęłam usta i spojrzałam w górę. Wypuściłam powoli powietrze z płuc. Nie lubiłam, kiedy ktokolwiek wytykał mi moje „umiejętności”, miałam wtedy wrażenie, że wciąż żyłam tylko dlatego, że byłam jakimś niewyjaśnionym tworem natury.

– Jakies wskazówki? – zapytałam w końcu. Nie chciałam dłużej ciągnąć tej rozmowy. Najważniejsze było to, że wiem, jakie mam zadanie, rozwodzenie się nad innymi aspektami nie miało sensu.

– Ktoś podrzuci ci dokumenty. Wyśpij się, przygotuj odpowiednio i znajdź tego człowieka czy demona, czy chuj wie, czym on jest.

Kiwnęłam głową i ruszyłam ku wyjściu. Dopiero kiedy postanowiłam zrobić krok, zorientowałam się, że moja noga cały czas podryguje nerwowo. Widocznie regeneracja po ostatnim zadaniu jeszcze się nie skończyła.

Odpędzane do tej pory bodźce uderzyły we mnie ze zdwojoną siłą. Mieszające się zapachy i ostre neonowe światło sączące się spod sufitu sprawiały, że ból czał się pod sklepieniem czaszki. Chciałam jak najszybciej opuścić gabinet Jean Luca i zaszyć się w swojej samotni, z której tak bestialsko mnie wyrwał.

– Ach, jeszcze jedno. – Dotarł do mnie jego przytłumiony głos. Zatrzymałam się z ręką opartą o klamkę i spojrzałam w stronę pracodawcy. Przyglądał mi się znudzonym wzrokiem, w kąciku

jego ust wisiał kolejny papieros. – Nicola Dubois morduje na potęgę pracujące dla mnie demony. Bardzo niebezpieczny okaz.

W jednej chwili zrobiło mi się bardzo gorąco, miałam wrażenie, że cała krew odpłynęła mi z twarzy i umościła sobie ciepłe gniazdko gdzieś w okolicy trzewi.

Ponownie kiwnęłam głową, nie chciałam dać po sobie poznać, że to mną wstrząsnęło. Przekroczyłam próg gabinetu, nie oglądając się za siebie. Echo szybkich kroków odbijało się w mojej głowie niczym tykanie zegara. W nozdrza wżarł się papierosowy dym. Unosząca się woń czystego eteru sprawiała, że kręciło mi się w głowie. Desperacko potrzebowałam świeżego powietrza, choć byłam pewna, że nie ukoj moich zszarganych nerwów.



Wyszłam spod prysznica i otuliłam się miękkim ręcznikiem. Stałam przed zaparowanym lustrem, po czym przetarłam dłonią taflę, by móc się w niej przejrzeć. Zamrugałam kilkukrotnie, widząc wściekle złote tęczówki, by wróciły do swojego naturalnego, hebanowego odcienia. Westchnęłam z ulgą, gdy tak się stało, a potem zajęłam się rozczesywaniem mokrych włosów. Kosmyki opadały powoli, ukrywając szeroką bliznę szpecącą mój obojczyk i zgięcie szyi.

To, że w tym świecie istniały potwory i demony, nie było niczym nadzwyczajnym. Od lat ludzie zabijali tych pierwszych, a z drugimi robili interesy. Handel wszelkiej maści narkotykami kwitł w najlepsze, kiedy okazało się, że demony szalały za nimi niczym fanki boysbandów za pięknymi, zniewieściałymi chłopcami pokazującymi swoje wdzięki na scenie. Jednak najlepiej w tej materii miał się eter i fentanyl. Nawet ludzie byli w stanie zabijać dla tych używek, byleby dostać upragnioną działkę.

Świat nieuchronnie kroczył ku zagładzie. Prawo od dawna nie istniało, władze pozostawiły miasta w rękach gangów, a te stały się ogromnymi korporacjami rozprawdzającymi swoje towary nawet w najdalsze zakamarki kontynentu, by zdobyć jak największą liczbę klientów. Państwo zajęło się natomiast walką z potworami. Te również ewoluowały, łącząc się w większe stada, raczej z przypadku, i napadały na społeczności, zatopione w eterze po sam czubek głowy.

Łatwy cel.

Dlatego koncerny zaczęły interesować się wynaturzeniami takimi jak ja. Coś pomiędzy człowiekiem, demonem a potworem. Istota nieprzynależąca do żadnego znanego im gatunku. Ciężka do zranienia, niemal niemożliwa do wytropienia, pozbawiona moralnych zahamowań, rodziny i wspomnień. Każde z nas ich nie miało, a przynajmniej ci, których poznałam, ze mną na czele.

Trimis – tak nazwał mnie Jean Luc Rousseau, kiedy stanął w nogach łóżka, w którym się obudziłam. Nie wiedziałam, kim jestem, czym jestem, ani jak znalazłam się w szpitalu. W głowie miałam pustkę, każde wspomnienie było nagrobkiem ze zdartym napisem, a wiatr hulał między nimi, zawodząc złowieszczo. Zabierał okruch po okruchu, aż w końcu pozostało jedynie puste, wyschnięte pole, gotowe przyjąć nowe, niezwiązane z poprzednim życiem.

Tylko przez chwilę miałam potrzebę odnalezienia własnej tożsamości. Zatraciłam się w tym tak bardzo, że w pewnym momencie mój „wybawiciel” postanowił położyć temu kres. Do dziś pamiętam przestraszony wzrok mężczyzny, którego kazał mi odnaleźć i zabić. Każde nerwowe drgnięcie kącików jego ust, gdy błagał o litość, zdesperowany ton głosu, drżące ręce i strózkę potu spływającą po jego skroni. Wycelowanie broni w jego zmarszczone czoło i naciśnięcie spustu okazało się bardzo oczyszczające.

Odpędziłam wspomnienia w zakurzony kąt umysłu, ubrałam się pospiesznie w czarny dres i udałam się do kuchni. Deszcz przyjemnie bębnił o metalowy parapet, wprowadzając mnie w swego rodzaju trans. Uwielbiałam ten stan, kiedy rytmicznie dudniące krople pomagały ukoić rozszalały umysł. Wpatrywałam się w krajobraz za oknem, choć znałam go na pamięć.

Dziewiąte piętro pozwalało mi na podziwianie Down Town z góry. Miasto było jak pogoda, która zwykle tu panowała – szare, brzydkie i smutne. Przemoc w tym miejscu miała się świetnie, choć za dnia było zdecydowanie spokojniej. Żandarmeria patrolowała ulice nieustannie aż do zachodu słońca, dlatego wtedy Down Town tętniło życiem. Jednak tuż po zmroku wszystkie państwowe oddziały zbierały się na granicach miasta, gotowe bronić je przed potworami.

Wtedy ulice pustoszały, ze wszystkich możliwych obskurnych miejsc wyłaniali się dealerzy, zabójcy, zwykli kieszonkowcy i ci, którzy potrzebowali towaru. Wtedy też pracę rozpoczynałam ja i inni trimisi. Nocą najłatwiej było wtopić się w tło, ciemność pochłaniała nas, otulała niczym matczyne ramię, gotowe chronić przed niebezpieczeństwem. Jakby sam księżyc był naszym Stwórcą i szedł z pomocą, zmuszając naturę do tego, by nam służyła.

Wzdrygnęłam się, kiedy telefon leżący na blacie zawibrował. Nie sprawdzając nawet, kto to, nacisnęłam zieloną słuchawkę.

– Pracujesz? – Usłyszałam znajomy głos i uśmiechnęłam się pod nosem.

– Nie – powiedziałam zgodnie z prawdą. Oparłam się o krawędź stołu, a moją uwagę przykuła para unosząca się z dzióbka czajnika. Wyłączyłam kuchenkę i sięgnęłam do szafki po słoik z herbatą oraz kubek. Po krótkim namyśle wyciągnęłam też drugi.

– Świetnie. Niedługo będę.

Nim zdążyłam odpowiedzieć, Ezra Cohen rozłączył się, więc odłożyłam telefon i zajęłam się naparem. Zdecydowanie wolałam

kawę, ale tym razem potrzebowałam się ogrzać, a nie rozbudzić. Wysunęłam szufladę z przyprawami. Woń cynamonu, kardamonu i szafranu otuliła mój umysł przyjemnie. Zaciągnęłam się tym zapachem, wrzuciłam ulubioną mieszankę razem z herbatą do kubka i zalałam wodą.

Przekroczyłam próg salonu, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Rozsiadłam się wygodnie na kanapie, odstawiłam jedną herbatę na stolik, a drugi kubek złapałam oburącz, by ogrzać zimne dłonie. Nie musiałam otwierać Ezrze, dawał mi jedynie znak, że już jest. Posiadał swój klucz od pół roku.

Uśmiechnęłam się, gdy ujrzałam jego potargane kasztanowe włosy we wnęce. Mrużył oczy zakryte eleganckimi okularami, na szklach rozplýwały się leniwie deszczowe krople. Zdjął je, ukazując prześliczne, czekoladowe tęczówki. Niemal od razu zrobiło mi się cieplej. Na gładkiej twarzy wykwił uśmiech, przez który innym kobietom miękły nogi. Mnie zresztą też. Ezra był niesamowicie przystojnym mężczyzną i całkowicie zdawał sobie z tego sprawę.

Pomachał mi białą teczka przed oczami, rzucił ją na ławę i pospiesznie ściągając kurtkę, usiadł tuż obok mnie.

– To dla mnie? – Wskazał drugi napój, a ja kiwnęłam głową w potwierdzeniu. Posłał mi całusa, zanim sięgnął po naczynie. – Dzięki.

– Ależ chłodne przywitanie. – Przewróciłam oczami w udawanym oburzeniu.

Ezra zaśmiał się pod nosem. Zabrał ode mnie kubek i odstaWił oba z powrotem. Bez ostrzeżenia objął mnie w talii, niemal natychmiast moje ciało obsypała gęsia skórka w kontakcie z jego zimnymi, mokrymi dłońmi. Przyciągnął mnie bliżej i musnął moje wargi swoimi ustami. Omiótł mnie miętowy zapach pasty do zębów i elektryzująca woń cedrowych perfum.

– Hej, Mad... – szepnął ochrypłym głosem, a mnie nagle opuściły wszystkie pozostałości zdrowego rozsądku. Przejechał językiem

po dolnej wardze, zanim wpił się w moje usta. Zachłannie, z pasją, która chwilami sprawiała, że miałam ochotę zerwać z niego ubranie. – Lepiej? Czy przywitać się z tobą bardziej?

Płotę głupoty... Za każdym razem tak jest.

– Hej – mruknęłam, łapiąc oddech. Moje dłonie niebezpiecznie wędrowały po umięśnionym brzuchu mężczyzny.

Ezra się odsunął, sięgnął po napoje i wsunął mi kubek w rękę. Rozparł się wygodnie na kanapie, po czym upił łyk. Lustrował mnie uważnie dużymi, okrągłymi oczami, choć zapewne niewiele mógł dostrzec bez dodatkowych soczewek. Zmieszana, nie wiedziałam, gdzie podziąć wzrok, więc sięgnęłam po teczkę.

Ten mężczyzna działał na mnie bardzo odurzająco i nasz szef miał tego pełną świadomość. Jeżeli Jean Lucowi zależało na czymś wyjątkowo mocno, wysyłał Cohena, by uspił wszystkie świecące na czerwono światelka w moim mózgu i bym czym prędzej wzięła się do pracy, by móc spotkać się z nim ponownie.

To, co nas łączyło, właściwie nie miało nazwy. Nie byliśmy sobie ani wyjątkowo bliscy, ani dalecy. Nie włączyliśmy w nasze prywatne sfery za dużo, wiedzieliśmy o sobie nieco więcej niż inni współpracownicy, ale wciąż nie można było nazwać tego żadną relacją. Ot, dwoje ludzi w podobnym wieku, pracujący dla tego samego człowieka, z potrzebą bliskości od czasu do czasu. Nie zmieniło to jednak faktu, że darzyłam Ezrę niesamowitą sympatią i obawiałam się dnia, w którym dostanę zlecenie właśnie na niego.

Przejrzałam akta. Nie było tego zbyt wiele. Kilka notatek o skradzionym eterze, szczegółowe opisy morderstw dokonanych na demonach, parę wpisów, gdzie był ostatnio widziany Nicola Dubois. Żadnych znaków szczególnych, żadnego ulubionego miejsca, adresu – czegokolwiek, od czego mogłabym zacząć. Na ostatniej stronie majaczyło jedynie niewyraźne zdjęcie z miejskiego monitoringu. Przysunęłam akta bliżej i zmarszczyłam brwi. Klasyczna męska sylwetka, ciemne włosy, nic szczególnego.

Spojrzałam na Ezrę.

– To wszystko? – zapytałam z wyczuwalną nutą rezygnacji w głosie.

– Tak. Co więcej, uważam, że wiele z tych dokumentów nie dotyczy Nicoli Duboisa. – Pochylił się nad aktami i położył rękę na moim udzie. – Nawet nie jestem w stanie stwierdzić, czy na tej fotografii rzeczywiście jest on. Ktokolwiek przeżył spotkanie z Nicolą, nie jest w stanie go opisać.

– Jak to? – Zmarszczyłam brwi.

– Wydaje mi się, że może być trimisem tak jak ty. Z tym że opowiadał manipulację ludzkim umysłem do perfekcji.

Mimowolnie się spięłam, kiedy Ezra wypowiedział słowo „trimis”. Mimo wszystko wołałam wciąż myśleć o sobie jak o zwykłym człowieku, a nie wynaturzeniu, za jakie uważało nas społeczeństwo.

Z posiadaniem nadnaturalnych mocy wiązało się wiele nakazów i zakazów, których należało przestrzegać. Prawo traktowało trimisów zupełnie inaczej niż zwykłych obywateli. Pozwalano nam żyć między ludźmi, ale nie wolno nam było zakładać rodzin, czy wiązać się z innymi trimisami. Wciąż nie wiadomo było, w jaki sposób powstają, dlatego, żeby nie ryzykować, dzieci takich istot były natychmiast eliminowane. Dzieci z mieszanych par również, by nie kusić losu.

Osobiście nie znałam żadnego trimisa, który miałby dzieci. Ani z innym trimisem, ani z człowiekiem. Byłam skłonna uwierzyć, że nie możemy ich mieć, a zapisy w prawie powstały tylko po to, by uspokoić zwykłych śmiertelników.

Zacisnęłam usta w wąską linię. Gdzieś głęboko pod skórą czułam, że to nie będzie zwykłe zlecenie i nie wykonam go tak szybko, jakbym sobie tego życzyła. Szkolenie Jean Luca zrobiło ze mnie wysokiej klasy tropiciela, ale zawsze miałam jakiś punkt zaczepienia: adres, włos, kawałek materiału czy przedmiot należący do celu. Wtedy mogłam użyć swoich nadnaturalnych zdolności

i sprawnie pozbyć się problemu, nawet się nie męcząc. Tym razem nie miałam nic, oprócz niewyraźnego screena z kamery.

Kim jesteś, Nicola Dubois? I czy naprawdę masz tak na imię?

ROZDZIAŁ 2

Jeżeli ja byłam najlepszym tropicielem w oddziałach Jean Luca, to Ezra na pewno należał do czołówki hakerów, których ten mężczyzna posiadał, o ile nie był najlepszym z nich wszystkich.

Nim się podniosłam z ciepłego łóżka, zauważyłam na szafce nocnej plik druków przygotowanych z myślą o moim zleceniu. Dźwignęłam się z cichym stęknieniem i rozejrzałam, jeszcze trochę zamroczona. Zatrzymałam się na szerokich, nagich plecach Ezry. Stukanie palców o klawiaturę odbijało się delikatnie od ciszy. Podpełzłam do niego w momencie, w którym nacisnął enter, a chwilę później drukarka oznajmiła, że rozpoczyna pracę. Objęłam go w pasie i położyłam brodę na ramieniu.

– Która godzina? – wymamrotałam, zerkając na ekran, jednak ciąg cyfr i innych znaków absolutnie nic mi nie mówił.

– Niewiele po trzeciej. – Odwrócił się i cmoknął mnie w skroń. – Możesz jeszcze śmiało spać.

– Przecież ja tego nie przejrzę do wieczora.

– Przejrzysz. Włamałam się do sieci miejskiej w poszukiwaniu tego gościa. Większość dokumentów to zdjęcia z monitoringu.

Sięgnął po kolejny druk, by mi go pokazać. Tym razem mężczyzna z fotografii, na którego patrzyłam, był zdecydowanie wyraźniejszy niż ten w aktach. Stał na przejściu dla pieszych, między mieszkańcami. Górował nad nimi wzrostem dobre piętnaście

centymetrów. Na głowie miał okulary przeciwsłoneczne, choć pogoda w tym mieście nie zachęcała, by je w ogóle zakładać, nawet jako element stylizacji. Ciemne kosmyki opadały lekko na równie hebanowe oczy. Gładka, przystojna twarz rozciągała się w nieco przesadzonym uśmiechu. Głowę pochylał nieznacznie w bok, czarny płaszcz wtapiał sylwetkę w tło. Miałam wrażenie, że patrzy prosto w obiektyw, mimo iż kamery były poukrywane na terenie całego miasta.

– To on? – zapytałam, choć wiedziałam, że tak. Ezra kiwnął głową.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Było w nim coś... hipnotyzującego, przyciągało uwagę, a jednocześnie miałam wrażenie, że jest tak pospolity, jak każdy inny w Down Town. Mogłam całymi godzinami studiować te rysy, zachwycać się nimi, próbować zapamiętać każdy dołeczek i zmarszczkę, jaka tworzyła się na jego twarzy, a jednocześnie, pod koniec dnia nie byłabym w stanie nawet zapamiętać, na kogo patrzyłam. Zupełnie jak...

– Trimis – powiedział Ezra, jakby był w mojej głowie i dokończył myśl. – Cień, jest wszędzie i nigdzie jednocześnie. Sprawdziłem daty i godziny nagrań. Gdyby był człowiekiem lub potworem, nie byłby w stanie tak szybko się przemieścić z punktu a do punktu b. – Odwrócił się, by wziąć papiery leżące na szafce nocnej. Niechętnie się odsunęłam, kiedy rozkładał przede mną najwcześniejsze fotografie. Jedna przedstawiała Nicolę na Hold Street, a druga tego samego mężczyznę, jednak był na drugim końcu miasta. – Spójrz na datę i godzinę.

Pochyliłam się nad zdjęciami. Różnica pięciu minut i dwunastu sekund. Wciągnęłam ze świstem powietrze w płuca, zaskoczona tą liczbą. Zamrugłam, nie dowierzając.

– Przecież to niemożliwe. – Pokręciłam głową. – Trimisi nie poruszają się aż tak szybko. Sama nim jestem.

– Tak, tylko ty jesteś nim prawdopodobnie od dziesięciu lat. Ile lat ma on? I czy urodził się taki, czy został trimisem przez promieniowanie?

Wpatrywałam się w Ezrę oniemiała. Fakt był taki, że mój seksowny informatyk miał fioła na punkcie potworów, demonów i trimisów. Wiedział o nich dosłownie wszystko. To on podsunął pomysł Rousseau, by zaczął werbować takich jak ja do pracy. Dzięki temu Jean Luc właściwie wyeliminował konkurencję, jednego po drugim, i nawet nie ubrudził sobie rącek.

Byłam jego ostatnim i chyba najważniejszym nabytkiem. Przygarnął mnie, nauczył wszystkiego, co sam wiedział, dał dach nad głową i otoczył opieką, o jakiej większość nastolatków mogła w tamtym czasie tylko pomarzyć. Mimo moralnie czarnej roboty byłam mu wdzięczna, za wszystko.

W każdym razie, jeśli Jean Luc był moim opiekunem, to Ezra został mentorem i skarbnicą wiedzy na temat trimisów. Straciłam pamięć, więc siłą rzeczy nikt nie był pewny, czy taka się właśnie urodziłam, ale zakładał, że tak. Byłam za młoda, by żyć w czasach wielkiego radioaktywnego wybuchu. Badania krwi nie były w stanie określić, czy posiadam ludzkie geny, dlatego bezpieczniej było założyć, że to nie czynniki zewnętrzne. Przynajmniej według lekarzy.

Ezra miał również teorię, że trimisi byli przez kogoś tworzeni, choć sama w nią nie wierzyłam. To wszystko było jakieś takie... śliskie, niemożliwe. Dzieci wynaturzeń podobno zdarzały się rzadko, w wielu przypadkach rodzice sami je zabijali, jeżeli kobieta donosiła ciążę. Lwią część abortowano zaraz po potwierdzeniu ciąży przez lekarza. Kontrolowanie niczego nieświadomych maluchów byłoby piekielnie trudne i prędzej czy później ich istnienie wyszłoby na światło dzienne, skazując na śmierć całe rodziny.

Dłoń Ezry objęła mój podbródek i uniosła go do góry. Spojrzałam w ciepłe, błyszczące oczy i uśmiechnęłam się mimowolnie.

– Zdjęcia to jedno – zaczął poważnym tonem, kiedy już był pewny, że skupiłam na nim swoją uwagę. – Nicola Dubois nie ma żadnej kartoteki. Nie istnieje żaden akt urodzenia, nigdy nie był w szpitalu, nie ma praw wyborczych, konta w banku, karty kredytowej, nic, co pomogłoby go odnaleźć.

– Chcesz mi powiedzieć, że mam tylko to?

Mężczyzna posłał mi pokrzepiający uśmiech. Westchnęłam przeciągle i wzięłam od niego resztę zdjęć. Przejrzałam je pośpiesznie, nic nie przykuło jakoś szczególnie mojej uwagi.

Mimo wszystko Ezra odwalił kawał dobrej roboty. Przecież wcale nie musiał tego dla mnie robić, mógł przynieść mi te akta, spędzić ze mną noc i rano zniknąć, jak miał w zwyczaju. Jednak został, przejrzał godziny materiałów, nawet nie wiem, z jakiego okresu, i przygotował podłoże, które dawało mi jako takie pole manewru.

Pochyliłam się nad dzielącymi nas wydrukami i musnęłam delikatnie jego pełne, kształtne usta. Niemal natychmiast dłoń Ezry wylądowała na moim karku, odbierając mi możliwość odsunięcia się. Rozchyliłam wargi, pozwoliłam mu zatopić się w nich jeszcze bardziej. Przesunął się do przodu, zmuszając mnie tym samym do zmiany pozycji na półleżącą. Ciepła dłoń Ezry sunęła po moim nagim udzie. Przeszedł mnie przyjemny dreszcz.

– Zostawmy to na chwilę – mruknął i zrzucił plik dokumentów na podłogę. Prychnęłam rozbawiona jego nagłą zmianą obiektu zainteresowania.

Zebrał moje włosy i zacisnął na nich pięść. Pociągnął stanowczo do dołu, zmuszając do odchylenia głowy. Z moich ust wyrwał się jęk, którego nie zdążyłam zdusić. Ezra sunął ustami po mojej szyi, zostawiał na skórze mokrą, gorącą ścieżkę. Zadrżałam pod wpływem tej pieszczoty, czułam, jak sutki mi twardnieją, a pożądanie kumuluje się gdzieś w okolicach ud.

Przymknęłam powieki. Chciałam chłonąć jak najwięcej z tych drobnych pieściz, bo może nasze następne spotkanie będzie bardzo odległe w czasie. Próbowalam zapamiętać każde muśnięcie jego gorących ust, palce zaciskające się na moich udach, to przeszywające, pożądliwe spojrzenie, sprawiające, że po kręgosłupie przebiegał elektryzujący dreszcz.

Dźwięk wibrującej komórki wyrwał mnie z tego cudownego stanu. Uniosłam się na łokciach i spojrzałam na Ezrę. Zaciśnięte w wąską linię usta wskazywały na to, że jest tak samo niezadowolony, jak ja.

– Kurwa – sarknął przez zaciśnięte zęby. Sięgnął po telefon, który zdążył już raz zakończyć połączenie i rozdzwonić się na nowo. Ezra spojrzał na wyświetlacz i opadł obok na materac, przyciskając knykcie do oczu. – To Rousseau.

– Jean Luc nie lubi czekać. – Uśmiechnęłam się smutno, zawiedziona takim obrotem spraw.

Ezra podniósł się z posłania i zaczął się ubierać. Opadłam z powrotem na poduszki, podziwiając wyrzeźbiony brzuch, delikatnie zarysowane ramiona i idealne wcięcie na biodrach, zanim zniknęło pod warstwami luźnych ubrań. Przeczesał ciemne włosy i zaklął siarczyście pod nosem, kiedy aparat zawibrował ponownie.

– Już jadę – zakomunikował, przykładając telefon do ucha. Rozłączył się i schował urządzenie do kieszeni spodni. Spojrzał na mnie, lustrując od góry do dołu. Pochylił się nad łóżkiem i pocałował mnie, choć trwało to zdecydowanie zbyt długo jak na pożegnane buziaka. – A ty się nakryj, bo nie ręczę za siebie.

Zaśmiałam się i podciągnęłam kołdrę pod brodę. Ezra natychmiast się rozpogodził, gniew w jego ślicznych oczach zastąpił szelmowski błysk.

– Do zobaczenia – szepnął i znów mnie pocałował, po czym szybkim krokiem ruszył ku wyjściu.

Takiego go lubiłam najbardziej. To spojrzenie ciemnych tęczyówek ciągle prowokujące do niebezpiecznej gry, w którą mnie wciągnął kilka lat wcześniej. I urocze dołeczki, kiedy się uśmiechał, gdy już doskonale wiedział, że dałam złapać się w pułapkę.

Ezra był delikatnym powiewem normalności w popapranym świecie pełnym przemocy, w jakim przyszło mi żyć. Pozwalał na odrobinę swobody – mogłam odetchnąć pełną piersią, gdy znajdowałam się w jego ramionach, i zapomnieć, choć na chwilę, że nie jestem zwykłym człowiekiem. I mimo że już dawno oboje zostaliśmy całkowicie wyprani z emocji, gdzieś tam w środku tlił się delikatny, nieśmiały płomień pełen ciepła, kiedy haker znajdował się tuż obok.



Przykleiłam do ściany ostatnie zdjęcie z monitoringu, które wydrukował dla mnie Cohen. Okazało się, że jest tego znacznie więcej, niż powiedział. Oprócz fotografii zrobił również listę miejsc, gdzie Dubois pojawiał się najczęściej: hotele i punkty spotkań demonów, które zginęły najprawdopodobniej z jego ręki, oraz listę skradzionych dostaw, przypisane dziełu Nicoli. Naprawdę byłam pod wrażeniem.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu pinezek. Ostatnie, co miałam na dziś do zrobienia, to oznaczenie tych wszystkich miejsc na mapie i, być może, rozszyfrowanie jakiejś rutyny nieznanego, która pozwoliłaby mi na dotarcie do celu.

Zastanawiałam się w międzyczasie, jak pochwycić takiego trimisa bez obcinania mu głowy. Eter był całkowitym niewypałem w tym wypadku. Nie działał na mnie i mi podobnych, dlatego dla Jean Luca byliśmy idealnymi pracownikami. Kokaina z kolei

była niczym proszki na ból głowy. Najbardziej obiecująca opcja to fentanyl – trudno dostępny po wielkim wybuchu, zresztą jak większość organicznych opioidów, a ten pozyskiwany syntetycznie przynosił marne efekty.

Wychodziło na to, że musiałam go po prostu pozbawić przytomności i zaciągnąć do siedziby, zanim się obudzi. Ciężki przypadek, i to dosłownie: mierzyłam niewiele ponad sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, a Nicola wydawał się górować nad większością mieszkańców tego miasta.

Czy to był jedynie efekt iluzji? Ezra wspominał, że zaawansowani trimisi potrafili manipulować nie tylko wolą, swoją siłą czy czasem, ale również materią. Wtedy Nicola musiałby być bardzo, ale to bardzo starym osobnikiem, a z tego, co wyczytałam, te zostały wybite praktycznie do zera zaraz po promieniowaniu.

Wielka wojna mocarstw zdziesiątkowała ludność Ziemi ponad osiemdziesiąt lat temu. Idioci zaczęli zrzucać na siebie atomówki, aż w końcu któryś z nich nacisnął nie ten guzik, co trzeba, i na Eurazję spadła przeogromna bomba biologiczna. Ludzie zaczęli zamieniać się w potwory. Za dnia ciężko było je odróżnić od zwykłych śmiertelników, nocą natomiast zmieniali się w krwiożercze bestie, atakujące wszystko, co popadnie. W końcu przestali przeobrażać się w ludzi za dnia. Nikt nie zwracał wtedy uwagi na tych napromieniowanych, którzy dziwnym trafem przeżyli. Ich DNA mutowało całymi tygodniami, tworząc z nich nadludzi, właściwie niemożliwych do pokonania.

Trimisów zdradzały błyszczące oczy w kolorze płynnego miodu, ujawniające się w momencie użycia mocy. Większość zwieziono w jedno miejsce gdzieś daleko w Stanach i wybito. Części udało się przeżyć i zanim doszło między nimi i ludźmi do porozumienia, władze zdążyły ujawnić znaczne więcej, niż trimisi by sobie życzyli.

Wielu ludzi odkrywało moce dopiero po ukończeniu pełnoletności, dlatego władze przestały ich eliminować, nadali im odpowiednie – według nich – prawa i pozwoliły żyć wśród zwykłych śmiertelnych. I tak została nas na świecie garstka, lepiej było nie pogarszać sytuacji.

To jednak tylko wiedza zaczerpnięta z książek. Wierzyłam w to, bo nie widziałam żadnej innej opcji. Ezra czasem sugerował, że to jedynie propaganda i że ludziom łatwiej żyć ze świadomością, jak powstają różne mutacje, dlatego stworzono publikacje tego typu. Nieśmiało przyznawałam, na razie sama przed sobą, że mi też było łatwiej, kiedy wiedziałam, skąd się wzięłam. To pomagało radzić sobie z utratą pamięci.

Wkładałam pinezki w odpowiednie miejsca, przypisując konkretny kolor do konkretnej sprawy. Zielone dla miejsc, w których bywał Dubois, czerwone tam, gdzie zginęły demony, niebieskie dla kradzieży eteru. Kiedy skończyłam, cofnęłam się dwa kroki, by móc przyjrzeć się swojemu dziełu. Wydełam usta z dezaprobatą. Niby układało się to w jakiś sensowny system, ale wciąż nie widziałam absolutnie żadnej zależności.

W moim brzuchu zagrało wygłodniałe tango i w tym samym momencie wyświetlacz telefonu zamigotał niebieskim światłem. Specjalnie położyłam go na kanapie, żeby jego wibracje nie przeszkadzały mi w pracy. Zerknęłam na ekran i westchnęłam przeciągle, kiedy zobaczyłam na nim znany numer.

Nacisnęłam zieloną słuchawkę i ustawiłam głośnomówiący.

– Jakiś progres? – Głos mojego pracodawcy mroził krew w żyłach. Chyba nie był w najlepszym humorze.

– Niewielki – odparłam zgodnie z prawdą. Spojrzałam na zegarek i uświadomiłam sobie, że minęło osiem godzin, odkąd zabrałam się za to przedsięwzięcie. – To jest prawdziwy cień, Jean.

– Lepszy niż ty?

– Tak.

Zaległa niewygodna cisza. Przeprowadziłam z nerwów z nogi na nogę. Mimo że byłam we własnym mieszkaniu, czułam się, jakbym znów stała w jego gabinecie, sperma tryskała mi na buty, a papierosowy dym wżerał się w nozdrza. Niezadowolony Jean Luc Rousseau roztaczał ciężką, mroczną aurę nawet na odległość. Wszyscy podwładni drżeli przed jego spojrzeniem, o konsekwencjach źle wykonanych zadań nikt nawet nie chciał myśleć.

A ja przez pewien czas sunęłam za nim niczym klon i chłonięłam każdy grymas oraz tik, którymi się posługiwał. Wiedział, że tak będzie, dlatego nazначzył mnie własnym nazwiskiem. Mój niemal całkiem pusty umysł chłonał wszystko jak gąbka. Włącznie ze strachem, jakim raczył podwładnych, choć w głębi duszy wcale się go nie bałam. Było zdecydowanie na odwrót.

– Przyślę kogoś do pomocy – powiedział po czasie. Ciche skrobienie długopisu o kartkę dotarło do moich wrażliwych uszu nawet z takiej odległości.

– Nie ma takiej potrzeby. Ezra już mi pomógł.

Właściwie to bardzo chciałam, żeby wrócił do mojego mieszkania, ale Jean Luc wcale nie musiał o tym wiedzieć. Sam fakt, że zaproponował kogoś do współpracy, świadczył o tym, że Nicola nie jest zwykłym zleceniem, i mój szef miał tego pełną świadomość. Niestety, zawsze pracowałam sama i prawdopodobnie nieuchwytny cel nie był dla mnie żadnym wyjątkiem. Odnajdę go prędzej czy później.

Jean Luc zakończył połączenie bez pożegnania. Ból głowy zaczął się gdzieś z tyłu, mózg wysyłał już jawne sygnały, że organizm potrzebuje energii. Z trudem oderwałam wzrok od dzieła wiszącego na ścianie i powlokłam się do kuchni. Otworzyłam lodówkę, ale odnalazłam w niej tylko światło. Wpatrywałam się w puste półki jeszcze przez chwilę, zanim doszłam do wniosku, że nie obejdzie się bez wypadu do marketu.

Pogoda za oknem wciąż nie zachęcała. Mimo wczesnej pory było szaro i ponuro, chmury kłębiły się ponad miastem, grożąc kolejnymi, obfitymi opadami. Nie było to coś, z czym mieszkańcy Down Town nie mieli wcześniej do czynienia. Latami kwaśne deszcze siały spustoszenie i nawet kiedy przestały nawiedzać cały kraj, ludzie drżeli na widok czarnych kłębow kotłujących się nad miastem.

Narzuciłam na ramiona płaszcz i przezornie sięgnęłam po parasol. Szybkim krokiem przemierzyłam korytarz, stanęłam przy windzie i guzikiem przywołałam metalową klitę. Głośne, niemal bolesne jęknięcie zakomunikowało, że sunęła powoli do góry. Miałam nieodparte wrażenie, że ktoś cały czas mi się przygląda, odkąd zamknęłam za sobą drzwi mieszkania. Rozejrzałam się dyskretnie, nikogo jednak nie zauważyłam.

Chłodny wiatr uderzył mnie w twarz. Postawiłam kołnierz płaszcza i ruszyłam przed siebie, nie zwracając większej uwagi na przechodniów. Miasto tętniło życiem, przynajmniej tak, jak pozwalały warunki. Harmider wdierał się do mojej głowy bez zaproszenia. Ryk silników rozbrzmiał wraz ze zmieniającym się na zielono światłem.

Szare, smutne samochody idealnie pasowały do apokaliptycznego obrazu zapuszczonego Down Town, o którym chyba zapomniał nawet sam Bóg. Betonowe bloki dawno oblażyły z tynku, ukazując rzędy zapleśniałych cegieł. Większość wieżowców już jakiś czas temu przestała nadawać się do zamieszkania, ale władze nie przejmowały się tym zbyt. Miały do wyboru dać ludziom dach nad głową albo posłać ich poza granice miasta na pewną śmierć. Chodniki były nierówne, w wielu miejscach brakowało kostki, a dziury pospiesznie zasypywano żwirem z pobliskiej kopalni. Tony śmieci upychane między budynkami przerażały swoimi rozmiarami. Moją uwagę zwracał równy tupot żołnierskich butów, jakby przecinali

drogę z niemal szwajcarską precyzją, mimo że Szwajcaria przestała istnieć zaraz po wielkim wybuchu.

Stałam na środku chodnika, porażona dziwnym uczuciem niepokoju. Rozejrzałam się, tym razem uważnie, jednak moje oczy nie zarejestrowały nic, co mogłoby wywołać niepożądaną emocję. Ruszyłam dalej, lecz nerwowość przybrała na sile, mrowiła pod skórą, wbijała szpilki pod paznokcie, zaznaczając boleśnie swoją obecność.

Kilka par oczu zwróciło się w moją stronę. Schyliłam głowę i przerzuciłam włosy do przodu, domyślając się, co było tego przyczyną. Sama poczułam to, jak natura trimisa przepływa przez moje ciało, a ja nie byłam w stanie tego opanować.

Postanowiłam podążać za tym niepokojem. Większość nauk Jean Luca sprowadzała się do jednej prostej zasady: zawsze idź w przeciwną stronę do tej, w którą ludzie uciekają. Wtedy masz pewność, że trafisz na cel, który należy wyeliminować.

Jean Luc Rousseau nie był filantropem. Liczyły się dla niego przede wszystkim interesy i pieniądze, jakie na nich zarabiał. A ja byłam jednym z narzędzi, które te pieniądze zarabiał. Niejednokrotnie zlecenia dostawał od samych władz Down Town, szczególnie kiedy żandarmeria nie radziła sobie z napływającymi hordami potworów czy wyjątkowo nieznosnymi trimisami, które nie należały do podwładnych mojego pracodawcy. Za każdą głowę potwora, jaką przyniosłam, był obficie nagradzany, czym szczerze się ze mną dzielił.

Skręciłam w jedną z uliczek. Przecisnęłam się przez wąski pasek, niezaruszony workami pełnymi śmieci, i czym prędzej oparłam się o betonową ścianę. Niepokój całkowicie zawładnął moim ciałem, czerwona lampka w głowie migała raz po raz, dając tym samym znak, że niedaleko czai się niebezpieczeństwo.

Zmarszczyłam brwi, sondując niewielką przestrzeń. Rytmiczne kapanie odbijało się echem od wysokich ścian. Gwar ulicy jakby

przycichł, stłumiony klaustrofobiczną wnęką. Niewiele światła docierało do tego miejsca, mrok pożerał kształty przedmiotów, które znajdowały się w uliczce, pozostawiając jedynie ich niewyraźny zarys.

Spięłam się, dostrzegając ruch w głębi. Automatycznie sięgnęłam do kabury – zwykle przewieszanej przez ramiona – i zakląłam siarczyście, widząc oczami wyobraźni, jak wisi na haku przy wyjściu z mieszkania.

Trudno, użyję pięści.

Weszłam w głąb uliczki z rękami uniesionymi na wysokości twarzy, gotowa w każdej chwili rzucić się do ataku. Przesuwałam się do przodu, starając się nie odrywać nóg od podłoża; mogłam trafić na jakąś wyrwę, a tracenie koncentracji nie było najlepszą opcją w momencie, kiedy moje zmysły szalały niczym tornado.

Coś zaszeleściło z lewej strony. Spojrzałam w mrok między śmietnikami, spinając się na całym ciele jeszcze bardziej. Pochyliłam się do przodu i wstrzymałam oddech. Chwilę później z niewielkiej wnęki wyłonił się mały, chudy kot.

Stałam jak wryta. Moje ramiona opadły z rezygnacją, tak samo, jak naszykowane do walki pięści. Zaśmiałam się z własnej przezorności i pokręciłam głową z niedowierzaniem. Czyżbym była aż tak rozkojarzona przez głód, że mój mózg uznał bezdomne zwierzę za niebezpieczeństwo?

A może zaczął mutować? Choć wydawało mi się to niedorzeczne, nie słyszałam nigdy o innych mutacjach niż ludzie.

Odwrociłam się ku wyjściu, gotowa wrócić do wyznaczonego sobie zadania zapelnienia lodówki. Czerwona lampka w mojej głowie jednak nie przestawała migać wściekle, wręcz miałam wrażenie, że świeci jeszcze bardziej niż poprzednio. Postanowiłam zignorować alarm i ruszyłam w stronę wąskiego pasma ulicy.

Świdrujące na wylot piszczenie w uszach nie dawało za wygraną. Cichy głosik w mojej głowie stawał się donioślejszy, nakazywał mi

spojrzeć w górę. Dla świętego spokoju zadarłam głowę i zamarłam w mgnieniu oka.

Pokraczna, zmutowana bestia wisiała uczepiona ceglanego parapetu. Czarno-żółte ślepia wpatrywały się we mnie intensywnie, twarz już od dawna nie przypominała ludzkiej, bliżej jej było do rozpuszczonej brei, upstrzonej ropnymi wykwitami. Szerokie, rybnie usta rozciągały się, prawdopodobnie w złowieszczym uśmiechu, ukazując dwa równe rzędy ostrych zębów. Nienaturalnie wygięte kończyny napinały się pod wpływem poruszanego wiatrem cielska. Całkiem wyraźnie widziałam stróżkę śliny płynącą po zdeformowanej brodzie.

Przełknęłam gulę narastającą w przełyku. Ciało znów się spięło, gotowe do walki. Powolnym ruchem sięgnęłam do kieszeni po jedyną rzecz, którą miałam przy sobie, oprócz telefonu. Nie uszło to uwadze potwora. Z gardłowym skrzekiem odbił się od ściany. Leciał prosto na mnie. Bez zastanowienia wyciągnęłam parasolkę i otworzyłam ją nad głową.

Padłam na ziemię przygnieciona ogromnym cielskiem. Powietrze uleciało z moich płuc, przyprowadzając na chwilę o bezdech. Szkielet parasola wbił się głęboko w nadgniłe mięso, przebijając je na wylot.

Potwór ryknął przeraźliwie, miotając się na wszystkie strony. Zamroczona odepchnęłam bydlę i skoczyłam na proste nogi. Adrenalina gotowała się w moich żyłach. Nie myśląc za wiele, przycisnęłam butem mutanta do podłoża. Szarpnęłam za rączkę parasola, ale materiał utkwiał zbyt głęboko, bym mogła go wyciągnąć.

– Szlag by to! – zakląłam, kiedy śmierzdząca, czarna breja wylądowała na mojej twarzy, gdy siłowałam się z jedyną bronią, którą posiadałam.

Bestia powoli odzyskiwała siły. Czułam, jak moja noga drży, wkładałam w nacisk tyle siły, ile byłam w stanie. Odnalazłam w sobie pokłady mocy trimisa i wcisnęłam but jeszcze bardziej.

Coś pękło, ten dźwięk odbił się echem od ścian. Ciche plaśnięcie świadczyło o tym, że przebiłam się przez warstwy skóry i mięśni. Spojrzałam w dół na swoją stopę, która tkwiła po kostkę w nadgniłym mięsie.

Zdusiłam w sobie odruch wymiotny i sprawnym ruchem złamałam trzon parasola. Potwór wił się i jęczał, ale doskonale wiedziałam, że rany, jakie odniósł, nie sprawią, że zdechnie. Wyswobodziłam nogę z ciała i przełożyłam ją na drugą stronę. Usiadłam na klatce piersiowej przeciwnika. Spojrzał na mnie wściekle, z jego gardła wydobył się bliżej nieokreślony bulgot.

Zamachnęłam się i wbiłam ułamany trzon w oko bestii. Ta ponownie ryknęła, niemal pozbawiając mnie słuchu. Zacisnęłam zęby i z impetem dźgałam głowę potwora raz za razem, celując w oczy, czoło i szyję. Miękkie, zmutowane kości nie miały szans z siłą trimisa. Pękały, wydając przy tym bliżej nieokreślony odgłos. Czułam, jak czarna krew ochlapuje moją twarz, wchodzi do oczu i ust, ale nie miałam czasu na to, by przetrzeć ją z obrzydzeniem. Jeżeli przestałabym, choć na jeden krótki moment, potwór mógłby mnie zaatakować, a drugi raz nie zamierzałam do tego dopuścić.

W końcu, po długich minutach, głowa niemal całkowicie wsiąknęła w rozmokłe podłoże, błotnista woda z kałuży obmywała resztki zmutowanego mózgu. Dźwignęłam się ciężko do góry. Łapałam powietrze w płuca głośno, jakbym przebiegła właśnie maraton.

Cofnęłam się kilka kroków i padłam przy przeciwległej ścianie, po czym zarzuciłam zmęczone ręce na kolana. Przymknęłam powieki, chcąc uspokoić szalejącą w moim organizmie adrenalinę. W nos wżarł się zgniły odór potwora, przypominając mi o zawroty głowy. Automatycznie żołądek zawiązał się w supeł. Tego dnia raczej już nic nie włożyłabym do ust.

– Jasny gwint...

Uniosłam powieki i odwróciłam głowę w stronę głosu. Zebrał się pokaźny tłum gapiów. Trzech żołnierzy stało we wnęce z szeroko otwartymi oczami. Przenosili spojrzenia raz na mnie, a raz na cielsko bestii podrygujące w ostatnich chwilach agonii.

– W porę – sarknęłam rozeźlona.

Czułam, jak opuszczają mnie wszystkie siły. Pozbywanie się innych trimisów, demonów czy zwykłych śmiertelników nie męczyło tak, jak walka z potworami – były zdecydowanie silniejsze i zwinniejsze niż ktokolwiek, kto żył jeszcze na tej planecie, a ja nie zostałam wyszkolona do tego, by z nimi walczyć bez broni. Nie należało to do puli moich codziennych obowiązków. Szczególnie wtedy, gdy nie byłam do tego odpowiednio przygotowana.

Żołnierze ruszyli ostrożnie w naszą stronę. Kątem oka dostrzegłam, jak jeden z nich wyciąga z kieszeni munduru telefon. Drugi wycelował broń w potwora i obejrzał dokładnie z każdej strony, okrążając truchło. Trzeci natomiast kucnął obok mnie, wyraźnie spięty, jakby podchodził do dzikiego zwierzęcia. Zlustrował mnie od góry do dołu z poważnym wyrazem twarzy. Mój oddech powoli się stabilizował.

– Dane – zażądał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Madeleine Rousseau – wysapałam i splunęłam na ziemię gęstą, ciemną breją, która zalegała mi do tej pory w ustach.

– Ja pierdolę, Rousseau, masz jaja.

Uniosłam brew i przechyliłam głowę na bok. Żołnierz sięgnął do przedniej kieszeni munduru, wyciągnął chusteczkę złożoną w równy kwadrat i podał mi ją bez zbędnego tłumaczenia. Przyjęłam kawałek materiału z wdzięcznością i przetarłam nim twarz. Odetchnęłam z ulgą, kiedy zapach rozkładu przestał tak drażnić mój nos.

Nie dane nam było ciągnąć dalej tej wymiany zdań. Chwilę później uliczkę rozświetliło czerwono-niebieskie światło policyjnego radiowozu.

Oznaczało to tylko jedno.
Miałam przesrane.